

Ojciec w Warszawie

Domy osiadły wzdłuż ulic jak olbrzymie statki na mieliźnie. Jeden z nich góruje na wzniesieniu usypanym

ze zmielonych gruzów getta.

Dwa Titaniki po dwóch stronach ulicy. Białe, rozłożyste budynki na rogu Jana Pawła i Solidarności.

Za często zmieniano tu nazwy ulicom. Dla ludzi starszych jedna na zawsze pozostała Leszkiem.

Po wojnie nie wszyscy zdecydowali się tu zamieszkać. Mówiono, że w domach straszy, że mieszkanie tutaj przynosi pecha. Moi rodzice, choć raz zgodni, śmiali się z tego. My mieliśmy być tu szczęśliwi.

Wprost z szerokiego chodnika, niczym po trapie wbiegam po schodkach, codziennie nowej mapie zabrudzeń. U szczytu pijany facet, przyspieszam.

Popękany chodnik podwórka falą podstawia mi nogę, potykam się. To korzenie drzew, które nie mogą przebić się przez gruz, mający zastąpić ziemię.

Przychodzę tu dwa razy dziennie. W wielu z tych mieszkań, samotnych kajutach, kończą swą podróż starzy ludzie. Oddaleni od życia, jakby byli na morzu. Wśród nich lokator spod 128, mój ojciec.

Wraz z otwarciem drzwi bucha gorące, duszne powietrze. Zapach maści, niepranej wełnianej marynarki, ziemniaków podgrzanych w mikrofali i moczu w plastikowym nocniku pod łóżkiem. Mimo bałaganu to muzeum, trwa bezruch, wstrzymanie czasu. Zwalisty fotel na środku pokoju, ojciec tkwi w nim podobny do nieruchomego ptaka w gnieździe. Wokół ciasno, wszystko musi być pod ręką. Meble; ustawione jak w tanim magazynie. Sekretarzyk bez nóg, z poplamionym, wiszącym na sznurku białym, obsypanym płaskimi jak bilon, szmaragdowymi miętusami. Torby krakersów, słoik cukru, aluminiowe sztucze, stary budzik. Martwa natura z przedmiotów marnej jakości. Kubek, czarny od parzonych, bez zmywania, jedna za drugą, herbat. Lepki pilot telewizyjny. Wieże z pudełek pełnych lekarstw.

Jeszcze nie toniemy, ale to wciąż Titanic.

Komunikat codziennie ten sam; „samopoczucie marne”. Wygłasza go półleżąc, jak nieco grubszy kocyk wyściełający fotel. Łysa głowa na tułowiu, szlafrok oprószony okruchami. Zawsze małowówny, przesiaduje teraz z zasłoniętymi dłońmi ustami, zatrzymując każde chcące wydostać się słowo. Marszczy brwi, kierując ku górze pytające spojrzenie. Zawsze w to samo miejsce, jakby w powietrzu wisiały podpowiedzi.

Umykają słowa, skale, pamięć. Na zwykłe „pada deszcz” odpowiada nagle pełen przesadnego zdumienia „coś podobnego!”. Słowa mijają sytuacje.

Ze słuchawką starego telefonu w dłoni, cierpliwie słucha reklamującego coś automatu, uprzejmie mu dziękuje. W swym archaicznym centrum, zza biału, planuje kolejne dni. Mikroskopijnym pismem zapisuje karteczki z listą zakupów i spraw do załatwienia. Są jak dawne, szkolne ściągki, które zapomniał zwinąć w rulonik.

Pory roku brudzą szyby w oknach, kurz zmienia kolor parapetów. Na dole, wokół bardzo dużego, ruchliwego skrzyżowania coraz szybciej toczy się życie innych, tych, którzy zastąpili postacie z jego świata. Tych, którzy żyli tu sześćdziesiąt lat temu, mężczyźni w krawatach i kapeluszach, kobiety na szpilkach, w pastelowych chustkach zawiązanych pod brodą. I ci nowi; których wygląd go dziwi. Nie krytykuje, ale nie rozumie u mężczyzn włosów związanych w kucyk, celowo podartych dżinsów i obecności tak wielu Hindusów w okolicy. Gdy był uczniem, do jego przedwojennej szkoły zaproszono Hindusa w turbanie, by pokazać go jako egzotyczną rzadkość.

Jeszcze długo po wojnie mówiono sobie „dzień dobry”, przechodzący przez ulicę nie wchodzili innym pod nogi, nikt nie turkotał bezlitośnie ciągniętą walizką na kółkach, motory i samochody nie jeździły tak szybko i głośno. Dresy nosili sportowcy, ziemniaki wypełniały siatki jak z morskich sieci.

Ptaki i ludzie w mieście. Kiedyś mniej odważni, kiedyś grzeczniejsi.

Parę ulic dalej jako dziecko grzebałam w ziemi łyżką. Błyszczący papierek przykrywałam w dołku kawałkiem kolorowego szkła i zasypywałam ziemią. Podwórkowa biżuteria, tak zwany "sekreć". Dziwna przyjemność w odsłanianiu go spod warstwy ziemi.

Tajemnice były na każdym kroku. Chodziliśmy po nich, znając słowo getto, nie mając pojęcia co znaczyło.

Pod nami zarys dawnego miasta, fundamenty spalonych domów. Podczas remontów w wydobywanym przez koparki gruzie wracają na powierzchnię resztki przedmiotów. Dzióbek od imbryka. Część porcelanowego korka elektrycznego, dawnego bezpiecznika. Kawałek talerza z porcelany ćmielowskiej.

Krzęsta stały pewnie w tym samym miejscu, w którym fotel ojca latami wgniata podłogę. Kuchnia społeczna, prowadzona przez Rachelę Auerbach, odgłos przesuwanych siedzisk, niespokojny gwar rozmów, brzęk sztućców.

Ja chcę wspominać to czego nie przeżyłam, ojciec niechętnie.

Jest bardzo zajęty sobą. Kiedy przychodzę, zdaje relacje jak z dziennika pokładowego. Trzy budzenia w ciągu nocy, podaje dokładne godziny, bolało go tu i tu, na śniadanie zjadł... . Jest koncentratem skupienia na swoim organizmie, na nic innego nie ma już sił. Atakuje go własne ciało, musi czuć i obserwować. Strategicznie zaplanować obronę. Do tego służą wieże leków. Któregoś wieczoru skarży się na lodowate stopy, pyta, jaką wziąć na to tabletkę. Miska ciepłej wody do moczenia nóg nie zyskuje jego aprobaty, trzeba ją wylać.

Jerzy, Jurek, Jureczek

Ciemnobrązowe talerzyki i tandetna, srebrzysta taca przeżyły upadek kilku potężnych niegdyś państw. Mikrofala dzwoni w prosty, starodawny sposób. Zbyt mały talerzyk piętrzy kremową biel tłuczonych ziemniaków, przykrytych spranym kawałkiem mięsa z czymś, co było warzywem. Z trudem uniesione, niepewnym, chybliwym lotem pokonują z ojcem odległość z kuchni do fotela.

To pokolenie wyrzeczeń.

Życiorysy z piątek chleba, popijanych wodą i wódką.

Pesel ojca, rozpoczynający się od „26” robi wrażenie. U niektórych budzi szacunek, u innych chęć wygranej w coraz popularniejszej grze "oszukam staruszka". Jurek, zaczepiany na klatce swojego domu, zamawia wszystkie proponowane, niepotrzebne mu sprzęty AGD. Zziębnięty, wpłaca zaliczki na nowe okna, drzwi. Wszystko z powodu jego dziewiętnastowiecznego savoir-vivre i prostej ufności do człowieka. Sam nigdy nikogo nie oszukał.

Samotny pan w kamizelce z mnóstwem kieszonek. Wszyscy starsi mężczyźni je noszą. Zawsze gotowi na każdy z przypadków, muszą mieć przy sobie dokumenty spłonięte jak oni sami, aluminiowe listki tabletek, klucze, karteluszki z numerami telefonów, paragony.

Drobny i szczupły, ma miłą, niezniszczoną twarz, uśmiech. 94 lata, w takim wieku wygląd ujawnia, jak się żyło, czy się nadużywało i czy pomimo wszystko udało się nie zgorzknieć. Jurkowi chyba się udało, chociaż czy przez lata wprawiony w nieokazywaniu emocji, nie ukrywał się za ugrzecznioną fasadą? Dużo się uśmiechał, uśmiech miał zapobiec pytaniom. Uprzedzić bez słów i wyrzutu; „u mnie wszystko w porządku, nie chciałbym sobą nikogo absorbować, wy też w nic mnie nie angażujcie”.

Jerzy, nawet jeśli był wzburzony, sam nigdy nie był burzą.

Brakowało mu spontaniczności i raczej nie był wesoły, za co innego podziwiałam go jako dziecko.

Handlowa żyłka, niechętnie widziana w PRL-u, wiodła go wprost do weneckich hurtowni odzieży. Potem, przy okazji, w moim warszawskim świecie pojawiały się cudownie atrakcyjne, zwłaszcza w tamtym okresie, artykuły spożywcze. Pierwszy raz widziana paczka spaghetti, nieznany dotąd jogurt owocowy w pucharku, bielsza i bardziej puszysta bułeczka. Z podróży do Włoch przyjeżdżały z nim VW garbusem, który miał swoje imię i z którym prawie się nie rozstawał.

Jeśli się rozstawać, to z żoną.

Za sobą miał właśnie błyskawicznie podjętą przez nią decyzję o rozwodzie, a przed sobą honorową wyprowadzkę ze wspólnego mieszkania.

Nędza peerelowskiego rynku fashion, wiecznie głodnego modnych ciuchów, pozwoliła mu kupić i wygodnie urządzić własną kawalerkę. Lubię jego konsekwencję i branie spraw w swoje ręce, podziwiam jak nadrobił powstałe przez wojnę zaległości w wykształceniu.

Przede wszystkim był lekarzem samochodów. Kochał samochody chyba bardziej niż ludzi. Nie lubił przyjąć, nie tańczył, nie pływał, czytał tylko gazety. Może raz w życiu był w teatrze, raz na koncercie. Prawie całe życie występował w duecie z volkswagenem. Sam był jak „chrząszcz”, niewielki, niezawodny. Wybierał równe, solidne drogi, omijał niespodzianki, niecodzienne ścieżki. Jeśli coś zaczął, na pewno to skończył, możliwie najprostsza drogą, nigdy na skróty.

Wyobrażam go sobie siedzącego w ciasnym warsztacie, pod ręką ma wszystkie potrzebne do napraw narzędzia, dziwne klucze, pokrętki, nasadki, śrubokręty i młotki wiszące na ścianach i zmyślnie poukładane na półkach. Dłonie brudne od smaru pracują nad czymś trudnym do zidentyfikowania, a za skrzypiącymi drzwiami świat boryka się z kolejnymi kłopotami. Wojna, powstania, ruiny, wielkie zmiany, ciągle na gorsze.

Życie, ludzie, zwłaszcza kobiety, wydawały mu się nieobliczalne, dużo łatwiej było zrozumieć samochody.

W ciągu kilku lat wykopany z ziemi korpus przedwojennego Polskiego Fiata wskrzesił w jeżdżący pojazd. Z niebytu umiał odlać klamkę identyczną z oryginałem, skompletować i poskładać jak Frankensteina cały skomplikowany mechanizm.

W 1977r ten samochód- replika zagrał w filmie „Akcja pod Arsenalem”, Jurek prowadził.

45 lat później w odszukanym w sieci fragmencie próbuję wydestylować jego widok za kierownicą. Jest go tyle co nic.

Jego wspomnienia

Brwinów, rok 1935. Dziewięcioletni chłopak pomaga matce pracującej w sklepie. Wokół niego cały tłum kobiet; klientki, sąsiadki, przyszły posłuchać radia, wtedy prawdziwej rzadkości. Jurek zapamięta tę chwilę, tę powagę. Ustał handel, ludzie płaczą. Trwa „live” relacja z uroczystego przewiezienia pociągiem ciała Józefa Piłsudskiego. Po drodze, tłumy stojących wzdłuż torów z Warszawy do Krakowa, też płaczą.

Podwarszawskie miejscowości, przedwojenne letniska; Brwinów, Podkowa Leśna, Otrębusy z ich lasami, ogrodami, alejami lipowymi są częścią jego młodości. Mecze siatkówki i tenisa, groźne przygody, Jeżdżąc na łyżwach po zamrożonym jeziorze, wpadł do przerębli, kiedyś indziej, jeszcze gorzej, do dołu z wapnem. Na czarno białym zdjęciu bardzo przystojny chłopak. Letnie popołudnie, w białych spodniach i koszuli, z gęstą czupryną ciemnych włosów. Oglądanie zdjęć rodziców jako młodych ludzi to mała, prywatna fatamorgana.

Świetne gimnazjum Zana w Pruszkowie, do którego, taki zdolny matematycznie, miał iść 1 września, musiała zastąpić szkoła techniczna. Tylko takie wykształcenie było wtedy dozwolone.

Noc i rano 12 września 1939 spędził pod parapetem. Trwała bitwa i ostrzał. Przestraszona rodzina z leżącego na obrzeżach domu, przeniosła się do znajomej w centrum miasta. Wracali koło południa, po ulicach jeździły już niemieckie samochody.

„Germaniec ze słojem miodu z naszej piwnicy zasuwiał Biskupicką na moim rowerze!, najlepsza marka, rower Kamińskiego, kosztował całe 120 zł”. Tak dla Jurka rozpoczęła się wojna.

Opowieści o tamtych dniach błyszczą zapomnianymi słowami. Po powrocie do domu zastali wybite „filongi”, podłogę sklepu na parterze zalaną naftą i zasłaną giłzami. Ukryte w szafie radio na kryształek, dotkliwie ugodzone w środku kolbą karabinu, „pomimo wszystko jeszcze długo grało i to jak!”

Na tym, jak mówi „aparacie”, w grudniu 1939 z przejęciem słuchał, toczącego się w Urugwaju thriller z

niemieckim statkiem Graf Spee w roli głównej. Krążownik brał udział w pierwszej wielkiej bitwie morskiej na Atlantyku, zatopił 9 brytyjskich statków handlowych i poważnie uszkodzony, schronił się w Montevideo.

Nakaz opuszczenia portu i obowiązujące prawo, stanowiące, że statek wojenny nie może wypłynąć, zanim nie miną 24 godz od opuszczenia go przez jednostkę przeciwnej strony konfliktu, wpędziły go w pułapkę. Wypływający codziennie jeden statek brytyjski uniemożliwiał jakikolwiek ruch. W końcu 17 grudnia obserwowany przez tysiące ludzi na nabrzeżach okręt, po wypłynięciu na odległość 3 mil, rzucił kotwicę i zdetonował ładunki wybuchowe, dokonując samozatopienia. Czy to wtedy trzynastolatek przesiąkł rozumianym w ten sposób bohaterstwem i pojęciem honoru?

Szaro bury warsztat pełen maszyn i pochylonych nad pracą chłopaków w poplamionych smarem kombinezonach, coś stuka, coś zgrzyta. To hala Zakładów w Ursusie, podczas okupacji niemiecki zakład zbrojeniowy. Zatrudniony na nocnej zmianie Jurek, zamiast pracować postanawia się zdrzemnąć. Zajmuje wygodny fotel kierowcy remontowanego właśnie czołgu. Zasypia, myśląc, że jest bezpieczny jak w schronie.

Budząc się, zbyt późno zauważa w przymacie peryskopu, że robotnicy zniknęli, a hala pełna jest elegancko umundurowanych Niemców, najwyraźniej dokonujących inspekcji wyższego szczebla. Przerażony, wyskakuje z czołgu i udawanym dziarskim krokiem idzie odważnie przez środek sali, prosto do swojej frezarki. Niemcy zastygli w milczącym zdziwieniu. Być może to szykowne mundury nie pozwoliły im pokazać zaskoczenia i zareagować.

Nie wiem na jaką pamiątkę stał w centrum Pruszkowa do lat 90-tych czołg, ale Jurkowi na pamiątkę tej historii. W kieszeni jednej z jego marynarek lata później znajdę ausweis z Ursusa, który miał niezawodnie chronić przed łapanką i wywiezieniem.

Kalendarz w brwinowskiej kuchni ogłasza lato 44 roku. Zbliżają się 18 urodziny Jurka, data nic więcej jeszcze nikomu nie mówi. Jurek, jak większość jego kolegów należy do AK. Dopiero drugi raz jedzie do Kazimierówki, małej stacyjki na trasie EKD, gdzie około 10 osób spotyka się na tajnych ćwiczeniach.

Do przejechania ma dwa, czy trzy przystanki. Do kolejki wchodzi niemieccy żołnierze, są w każdym wagoniku, obstawili wyjścia. Bez zatrzymywania na stacjach kolejka dojeżdża do Grodziska. Wszystkich mężczyzn wyprowadzono na dziedziniec starostwa i zostawiono pod strażą. Na całą noc. Bez jedzenia i picia. Rano wpakowano ich na otwarte ciężarówki i wywieziono w kierunku Warszawy. Wysiedli na Targówku, każdy dostał łopatę i wytyczony odcinek do kopania okopów. Pod nadzorem pracowało około 30 mężczyzn. Nagle pobliską szosą galopem przeleciała kawaleria, dwieście, może trzysta koni. To w popłochu uciekali rosyjscy żołnierze azjatyckiego pochodzenia, służący w armii niemieckiej. Dlaczego, wyjaśnił po chwili pomruk wielu nadlatujących bardzo nisko rosyjskich samolotów. Wtedy do ucieczki zerwali się i Niemcy, pilnujący kopających. Ci, jak umówieni, przenoszą się pod pobliski kiosk. Wreszcie mogą kupić sobie coś do picia. Pod kioskiem

rośnie piramida z łopat, które stały się właśnie walutą.

Niedziela

Najtrudniej jest mi go odwiedzać w niedziele, niedziele nie lubią samotności, powiększają ją. Nasze rozmowy lądują na wydmach, roztapiają się i gasną. Ojciec to mały pomnik wielkiej nudy, myślę i jak zwykle, kiedy jestem rozdrażniona, w głowie rozlega mi się jakaś irytująca, polska piosenka sprzed lat. Nerwowe radio we mnie robi co chce, włącza się samo i niełatwo je wyłączyć. Ojciec pyta tymczasem, czy internet to taki większy telewizor. Telewizor, ma, przypuśćmy, sto programów, a internet trzysta? Z ulgą pokazuję mu możliwości sieci. Przeglądamy ogłoszenia o sprzedaży zabytkowych aut, w międzyczasie zabytkiem został mały fiat. Odkrywamy, że na terenie zakładów, w których kiedyś pracował, od paru już lat stoi nowe, luksusowe osiedle. To robi wrażenie. Słuchamy piosenki Fogga. Chybiony strzał. Nagle wiem! Zdjęcia z Capri, kiedyś był zachwycony wyspą. Oglądamy, robi się fajnie.

Tuż po wojnie

Pracują w korytarzach z gruzu, w obrębie ulic, do których trzeba się dopiero dokopać. Przed nimi kilkumetrowe góry zgliszczy. Ludzie rękoma wybierają z gruzu zachowane w całości cegły, każdy ma coś do odbudowania. Są na Placu Napoleona, pomiędzy szkieletem Prudentialu a zgliszczami Poczty Głównej. Jurek prowadzi małe przedsiębiorstwo transportowe. „Miałem pod sobą ze stu chłopaków ze Służby Polsce. Wystawiałem kwity na robotę, byłem taki, jakby tu powiedzieć...dyrygent furmanek”. Przed wojną dyrygent furmanek odwiedził Warszawę tylko parę razy, widział piękny plac przy okazji kupna szkolnego mundurka na Królewskiej. Odgruzowywanie zaczyna od ruin budynku poczty, ścieżynka między gruzami prowadzi wprost do ażurowego kikuta po wieżowcu. Były tam apartamenty gwiazd filmowych, profesjonalne studio telewizyjne na 16 piętrze, restauracje. Teraz toaleta w ruinach. Powoli odsłaniają zatarte ślady, szorstkie od pyłu pakiety listów poczty powstańczej, które nigdy już nigdzie nie dotrą, na Focha ciało znanego aktora. Obok groteskowo urwanej, zasuszonej dłoni kobiecej, nienaruszony motocykl Zuendapp, który posłuży Jurkowi jeszcze wiele lat. W kominie ktoś znajduje zwitek dolarów. Na Wareckiej spycharka dosłownie zapada się pod ziemię, giną zasypani szabrujący po piwnicach ludzie. Obszar ulic Miodowej i Kapitulnej kryje niespodzianki, pułapki, perły. Koparka trafia łyżką w ukryte pod gruzami magazyny Simona i Steckiego. Elita gruzów po Pałacu Teppera, miejsca balu wydanego przez Talleyranda na cześć Napoleona, urodzin Lechonia. Łyżka koparki pełna pokruszonych butelek wymieszanych z gruzem, sący wysokogatunkowe alkohole, roni brudne, bursztynowe krople starki i węgrzyna. Natychmiast gęstnieje tłumek usiłujący uratować choć jedną butelkę, choćby i z utraconą szijką. Furmanki załadowane niecodziennym towarem, woźnica zacina batem konia, chcąc uciec przed napierającymi, którzy jeszcze w biegu wyciągają co się da. Przez cały dzień mówi się w mieście o odkryciu na Miodowej. Dalej na północ, w stronę Żoliborza, w morzu gruzów nagle nowe wydarzenie. Odkryty lej po bombie ukazuje widma. Siedzą, jeden przy drugim, oparci o ściany piwnicy. Strop pomieszczenia przywalony został gruzami, lecz się nie zawalił. Żydzi, trzynaście osób, prawie przezroczyści, jak zasuszone, kruche rośliny. Ktoś sprawdza, nie mają nic przy sobie, już ich obrabowano. Ktoś zawiadamia gminę żydowską. Przyjeżdżają, zabierają ciała. Przekładane na ręce, zginają się jak płaszczyzny z bibułki.

Randka

Zjadł kolację, zmył jedyny talerz, założył marynarkę. Zamknął drzwi i przeszedł po zawieszanej

wysoko desce, jak most łączącej dwie części zbombardowanej kamienicy na Smolnej. Zmierzchało, jeszcze nie paliły się lampy.

Umówił się z nią na dziewiątą. Pod kinem Atlantic. Tak mu do niej tęskno już.

Szybkim krokiem szedł przez miasto ożywionych ruin, Po ulicach, których już nie było, jeździły auta, w miejscach dawnych sklepów stały wklejone w resztki murów stragany, między zgłiszczami razła nagła biel rozwieszonego prania.

Dostrzegł Hanię wśród przechodniów, jej ciemną główkę i zgrabny chód. Stukała obcasami, wyróżniała się

urodą i lekką, wzorzystą sukienką. Spotkanie napełniało go jednocześnie szczęściem i obawą. Miał wrażenie, że to jemu bardziej na niej zależy.

Już się witają. Dotyk dłoni, lekkie muśnięcie policzka, jej piękny, zalotny czerwona szminką uśmiech. Spojrzenia widzące tylko siebie. Pasma włosów zsuwane za ucho. Żarty ze współpracowników; w pracy udają osoby zupełnie sobie obojętne. Podskórna radość z bycia młodym, ładnym i zakochanym. Poczucie, że jednak przyszłość.

Trzymając się za ręce, wchodzą do sali kinowej. Siadają w ostatnim rzędzie, tym dla zainteresowanych sobą, nie filmem. Zagłębieni w fotelach, jak dwa groszki w strączku, schronieni w ciemności. Przez parę lat świat wokół nich płonął, przygnieciony złem, zniszczeniem i śmiercią. Teraz spróbują odrobinę go naprawić. Zaczną od przytulania się, dotyku, pocałunku i szeptu tak cichego, że sami go nie słyszą.

Powązki

Mieszkamy na Piaskowej, tuż przy cmentarzu na Powązkach. Ojciec stracił dużo pieniędzy w wyniku przebiegle przeprowadzonej przez rząd w 1950 r. wymiany. Pracuje w pobliskiej garbarni. W miesiąc zarabia tyle, ile przedtem jednego dnia. Władze przestały tolerować tak zwanych prywaciarzy, nie przedłużają koncesji; musiał zamknąć interes. Napowietrzne mieszkanko na Smolnej przejął jakiś urząd.

W niedzielne poranki wychodzimy razem na spacer. Najpierw msza w powązkowskim kościele, potem kiosk Ruchu. W kiosku czeka „Przekrój”, odkładany dla abonentów do teczek. I dalej, po ciastka.

Ojca ulubione to stefanka, piętus złożony z bardzo wielu idealnie równych, cienkich jak kreski warstewek o różnych kolorach. Jakiś mały, niezrozumiały cud doskonałej technologii, wokół nic mu nie dorównywało. Pakowane zawsze tak samo szybko, zręcznie otaczane kolorowym sznureczkiem ze specjalną pętelką do trzymania na jednym palcu. Po mszy wszyscy robili ten sam spacer i wracali do domów z dyndającymi na palcach pudełkami ciastek. Szeleściły modne płaszcze z ortalionu. Wracaliśmy do nietypowego domu trochę jak z filmu, z zakamarkami i oryginalnym wejściem z kolumnami.

Nasze mieszkanie połączone było ze stryżkiem, w którym małe, niskie okienko było jak oko fotoplastikonu,

z gołębiami, blaszaną szarością dachów, często mokrych od deszczu.

Może i prawda, że Paryż Północy?

Kłótnia

Stoi przed szafą, w szarej garsonce, układa bluzki. Według kolorów, z linijką w oku. Szafa jak ołtarz, matka odprawia misteria porządku.

Wszystkie sprzęty zachowują się jak należy. Zasłony prężą wzory a la Picasso, fotele pod kątem, w gotowości, stół błyszczy, jak nieużywany, szafka pełna lekarstw na wszystkie dolegliwości. Można by żyć w miarę spokojnie i bezpiecznie. Tylko mieszkańcy: mąż i córka zawodzą.

Hanka maluje nadal usta szminką, ale jak zamalować grymas?

Może odrabiam lekcje, może bawię się z kotem. Matka milczy, radio gada gwarą sołtysa Kierdziołka. Przy wybuchach śmiechu publiczności, w pokoju, jak ocet w winegrecie tężeją złość i pretensje. „Jak ty się dziś ubrałaś?!”. To nagana, nie pytanie. Zaczyna się. Jeden za drugim padają zarzuty, odstawione nie na miejsce garnki, nieumyte podłogi, nieposłuszeństwo. Jestem naiwną gówniarą i przebiegłym cynikiem. Wyglądam jak śledziara; „chyba, że po tobie”, krzyczę ze złością. Uderza mnie w twarz.

Wchodzi ojciec, już słyszał. Matka czerwona ze złości, córka od uderzenia.

„Hanka, przestań, zostaw ją!” próbuje ojciec.

„Zostawić? Tak, zostawię! oboje was zostawię i to na zawsze, zobaczysz! Patrzeć już na was nie mogę!”

„To my nie możemy już na ciebie patrzeć” krzyczę i zmieniam matkę w kłęb szалу. Wznosi ręce i rzuca się, chcąc mnie bić. Ojciec doskakuje, potrzebuje czasu i siły, żeby złapać ją za nadgarstki i obezwładnić.

Splątani w walce rękoma i ciałem. Podziwiałabym, gdyby byli grecką rzeźbą.

Matka się oswabada, podchodzi do telefonu. Zgłasza milicji pobicie przez męża.

Pandemia

Od ponad dwóch miesięcy nie wychodzi z domu. W wieczornej poświacie włączonego telewizora stapia się ze swoim pokojem, już nie kajutą, tylko szalupą.

Nad jego łóżkiem wisi jedyna roślina w tym mieszkaniu, podlewana od czasu do czasu, raz odżywa, raz usycha. Szyby serwantki pokryły się mglistą śniedzią, jakby przeszła tędy zima. Ciemne esy floresy dywanu przenoszą do domu późny październik.

Jurek nie zawiąże już krawata. Nie dotyczą go już żadne prognozy, nawet pogody. Sprzęty tracą dla niego swoje funkcje. Wanna stawia zbyt wysokie progi, przebieranie się, zapinanie guzików, nawet zakładanie kapci sprawiają wielką trudność. Jest naburmuszony, zniecierpliwiony. Zirytowany, bez słowa oddaje mi pudełko puzzli, które przyniosłam w nadziei, że przez chwilę go zajmie.

Jednak ciągle jeszcze logicznie myśli. W odróżnieniu ode mnie. Dokładnie wypytuje o moją sytuację, o niedawno przyznaną mi emeryturę. Robi, niby przy okazji, kalkulacje moich miesięcznych wydatków. Troszczy się o mnie jak nikt inny. A ja nie domyślam się, co zaplanował.

Zaczynam myśleć o nim tak, jakby już go nie było. Lawiruję między wspomnieniami, zahaczam tylko te miłe, przyciągam, rozsuwam, żeby nie zetknęły się z gorszymi. Ojciec, specjalista od nieudanych żartów,

mistrz małych gaf, mruk, dziwak i samotnik. To dam pod spód, na górze niech będzie jego wyrozumiałość, gotowość do pomocy, kogel-mogel ukręcany w filizance, gdy chorowałam.

Wzruszająco nieudane próby snucia bajek o Chińczyku Li. Wspólnie tworzony front przeciw mojej matce, jego żonie. Cieniutkie jak słomka frytki, jedzone wspólnie w restauracji, gdy za karę odmawiała nam niedzielnego obiadu. I to, jak w mojej obronie złapał ją za rękę, gdy znów chciała mnie bić. Tak stanowczo, że nie chcąc tego ją złamał.

Przygotowuję się na to, jak może umrzeć, Bo to ja go znajdę, nikt inny tu nie przychodzi.

„Od samego rana huczy mi we łbie, zimno mi i gorąco, na zmianę, cholera jasna. Jak już całkiem dokuczy,

kładę łeb na stole, nieklawo jest. No, ale co ja mogę zrobić, jakbym miał jakieś prochy, to bym to skończył, mam wszystkiego dość, czekam na kostuchę. Kolejka widać długa”.

Przychodzę w niedzielę i nie mogę go znaleźć, fotel pusty, nie ma go w kuchni, łazience, nie leży w

łóżku. Może do sąsiada ? Może do pokoju - magazynku? Po co? Wchodzę, wołam, żadnej odpowiedzi, w pokoju też pusto.

Jednak.

Jest.

Tyłem do mnie, siedzi. Za meblami. Przesuwam krzesło, tuż tuż stojący w pionie stelaż. Może czegoś szukał i zasłabł... głowa, zwisa, w bok, sznurek, cienki, dziwnym rytmem, dół, góra. Na nim bezład, osunięte na podłogę ciało. W ciepłej, białej kamizelce. Martwy ojciec, straszna marionetka. Boję się dotknąć, trzęsę się, rozumiem. Siedzący powieszony. Dotykam żałośnie ostrożnie. Nie, już nie żyje.

Obcym głosem w skowycie wzywam przez telefon pomoc.